

FINAŁOWY TOM BESTSELLEROWEJ
DO WSZYSTKICH CHŁOPCÓW, KTÓRYCH KOCHAŁAM

Jenny
Han

Zawsze
i na
zawsze

Young

Jenny Han

Zawsze
i na
zawsze

PRZEŁOŻYŁA

Matylda Biernacka

Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Always and Forever

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska
Redakcja: Justyna Yiğitler
Korekta: Monika Kardasz
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Douglas Lyle Thompson
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2017 by Jenny Han.
Published by arrangement with Folio
Literary Management, LLC and GRAAL Literary Agency.
Jacket hand-lettering copyright © 2017 by Nancy Howell

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Matylda Biernacka, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2019
ISBN 978-83-66338-35-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Teraz oto niespodzianie jakiś zakręt.
Nie wiem, co się poza nim znajduje,
ale chcę wierzyć, że tylko dobre.

– L.M. MONTGOMERY,
Ania z Zielonego Wzgórza
tłum. Rozalia Bernsteinowa

1

LUBIĘ OBSERWOWAĆ PETERA, kiedy nie wie, że na niego patrzę. Lubię podziwiać tę prostą linię szczęki, łuk kości policzkowej. W jego twarzy jest jakaś otwartość, niewinność – pewien rodzaj dobroci. Ta dobroć właśnie najmocniej chwyta mnie za serce.

Jest piątkowy wieczór w domu Gabe'a Rivery po meczu lacrosse. Nasza szkoła zwyciężyła, więc wszyscy są w doskonałych humorach, zwłaszcza Peter, który wykonał decydujące uderzenie. Gra na drugim końcu pokoju w pokera z kumplami z drużyny. Siedzi na odchylonym krześle, oparty plecami o ścianę. Włosy ma jeszcze wilgotne od prysznicza po meczu. Ja zajmuję miejsce na kanapie z moimi przyjaciółmi, Lucasem Krapfem i Pammy Subkoff, którzy wertują najnowszy numer „Teen Vouge'a”, dyskutując, czy Pammy powinna sobie zrobić grzywkę czy nie.

– Jak myślisz, Laro Jean? – pyta Pammy, przeczesując palcami marchewkowe włosy.

Pammy jest nową znajomą – poznałam ją dlatego, że spotyka się z przyjacielem Petera, Darrellem. Ma buzię lalki, okrągłą jak tortownica i oprószoną, podobnie jak ramiona, piegami.

– Hmm, myślę, że grzywka to poważna decyzja, której nie należy podejmować pod wpływem impulsu. W zależności od tego, jak szybko rosną ci włosy, możesz ją potem odhodowywać rok albo i dłużej. Ale jeśli myślisz o niej poważnie, poczekaj do jesieni, bo ani się obejrzysz, będzie lato, a grzywka latem się lepi, przetłuszcza i daje w kość...

Moje spojrzenie dryfuje znów w kierunku Petera, ten podnosi wzrok, dostrzega, że na niego patrzę, i unosi brwi pytająco. Uśmiecham się tylko i kręcę głową.

– Więc nie ścinać grzywki?

Telefon wibruje w mojej torebce. To Peter.

Chcesz już iść?

Nie.

To czemu się we mnie wpatrujesz?

Bo miałam na to ochotę.

Lucas czyta mi przez ramię. Odpycham go, a on kręci głową i mówi:

– Naprawdę piszecie do siebie esemesy, kiedy dzieli was zaledwie parę metrów?

Pammy marszczy nos i rzuca:

– Jakie to urocze.

Właśnie mam im odpowiedzieć, kiedy podnoszę oczy i widzę, że Peter zmierza stanowczo w moją stronę.

– Pora zabrać moją dziewczynę do domu – mówi.

– Która godzina? – pytam. – Już tak późno?

Peter zgarnia mnie z kanapy i podaje mi kurtkę. Potem, ciągnąc mnie za rękę, prowadzi przez salon Gabe'a. Rzucam okiem przez ramię, macham i wołam:

– Pa, Lucas! Pa, Pammy! Tak między nami, uważam, że wyglądałabyś z grzywką świetnie! Czemu idziesz tak szybko? – pytam, kiedy Peter prowadzi mnie przez trawnik na ulicę, gdzie zaparkował samochód.

Zatrzymuje się przy wozie, przyciąga mnie do siebie i całuje, a wszystko to jednym płynnym ruchem.

– Nie mogę skoncentrować się na kartach, kiedy tak się na mnie gapisz, Covey.

– Przepraszam... – zaczynam, ale on znów mnie całuje, mocno przyciskając dłonie do moich pleców.

W samochodzie rzucam okiem na deskę rozdzielczą i widzę, że jest dopiero północ.

– Mam jeszcze godzinę, zanim będę musiała wrócić do domu. Co robimy? – pytam.

Ze wszystkich znanych mi osób jako jedyna mam ustaloną porę powrotów. Kiedy zegar wybija pierwszą w nocy, zamieniam się w dynię. Wszyscy już do tego przywykli: grzeczna dziewczyn(k)a Petera Kavinsky'ego, która musi być w domu na pierwszą. Nigdy nie przeszkadzała mi ta zasada. Bo przecież nie tracę znowu niczego aż tak fantastycznego – i co mówi stare powiedzenie? Po drugiej w nocy nie zdarza się nic dobrego. Chyba że akurat lubisz patrzeć, jak ludzie godzinami grają w picie na czas. Ja nie. Nie, zdecydowanie wolę siedzieć we flanelowej piżamie z kubkiem herbaty na dobranoc i książką. Dziękuję bardzo.

– Jedźmy do ciebie. Chcę wejść, przywitać się z twoim tatą i chwilę posiedzieć. Moglibyśmy dokończyć oglądanie *Obcego*.

Pracujemy z Peterem nad listą filmową, która składa się z moich wyborów (moje ulubione filmy, których Peter nie widział), jego wyborów (jego ulubione filmy, których ja nie widziałam) i filmów, których żadne z nas nie widziało. *Obcy* to wybór Petera, i to całkiem niezły. I chociaż dawno temu Peter twierdził, że nie lubi komedii romantycznych, bardzo podobała mu się *Bezszenność w Seattle*, co przyjąłem z ulgą, bo nie mam pojęcia, jak mogłabym być z kimś, kto nie lubi *Bezszenności w Seattle*.

– Nie wracajmy jeszcze – mówię. – Pojedźmy gdzieś.

Peter zastanawia się przez chwilę, stukając palcami o kierownicę, a potem oznajmia:

– Wiem, gdzie możemy pojechać.

– Gdzie?

– Poczekaj, to zobaczysz – mówi i spuszcza szybę, a rzeźkie wieczorne powietrze wypełnia samochód.

Odchyłam się w fotelu. Ulice są puste, światła w większości domów zgaszone.

– Niech zgadnę. Jedziemy do baru, bo masz ochotę na naleśniki z jagodami.

– Pudło.

– Hmm. Za późno na Starbucksa, Biscuit Soul Food też jest zamknięta.

– Ej, nie tylko jedzenie mi w głowie – protestuje, po czym dodaje: – Zostały w pudełku jakieś ciastka?

– Wszystkie poszły, ale być może zostało parę w domu, o ile Kitty ich nie zjadła.

Wystawiam rękę przez okno i pozwalam jej zwiśać swobodnie. Nie zostało już wiele takich wieczorów, kiedy jest na tyle chłodno, że potrzeba kurtki.

Zerkam kątem oka na profil Petera. Czasem wciąż nie mogę uwierzyć, że jest mój. Najprzystojniejszy z przystojnych jest mój, tylko mój.

– Co? – pyta.

– Nic – odpowiadam.

Dziesięć minut później wjeżdżamy na kampus Uniwersytetu Wirginii, tyle że nikt nie nazywa go kampusem. Mówią na niego Teren. Peter parkuje przy krawężniku. Cicho tu jak na piątkowy wieczór w miasteczku studenckim, ale trwa teraz przerwa wiosenna, więc mnóstwo studentów wyjechało.

Przechodzimy przez trawnik, trzymając się za ręce, kiedy nagle ogarnia mnie panika. Zatrzymuję się w pół kroku i pytam:

– Ej, nie myślisz, że przychodzenie tu, zanim się jeszcze dostałam, może przynieść mi pecha?

Peter się śmieje.

– To nie ślub. Nie wychodzisz za UW.

– Łatwo ci mówić, ciebie już przyjęli.

W zeszłym roku Peter zobowiązał się ustnie względem drużyny lacrosse UW, a na jesieni złożył podanie we wcześniejszym terminie. Jak w przypadku większości sportowców miał zapewnione miejsce, o ile jego oceny nie ulegną pogorszeniu. Kiedy w styczniu otrzymał oficjalne potwierdzenie, jego mama urządziła dla niego przyjęcie, a ja upiekłam ciasto z żółtym lukrowym napisem: „Oddaję swój talent UW”.

Peter ciągnie mnie za rękę i mówi:

– Daj spokój, Covey. Jesteśmy kowalami własnego losu. Poza tym byliśmy tu już dwa miesiące temu w Miller Center.

Uspokajam się.

– A, tak.

Ruszamy dalej przez trawnik. Już wiem, dokąd idziemy. Do Rotundy, żeby posiedzieć sobie na schodach. Rotundę zaprojektował Thomas Jefferson, założyciel uczelni, wzorując ją na Panteonie wraz z białymi kolumnami i wielką kopułą sklepienia. Peter w stylu Rocky'ego wbiega na schody i siada z impetem. Ja siadam poniżej, odchylam się i opieram o jego nogi.

– Wiedziałeś – zaczynam – że jedną z rzeczy, które nadają UW wyjątkowy charakter, jest to, że w centrum szkoły, tu, wewnątrz Rotundy, znajduje się biblioteka, a nie kościół? To dlatego, że Jefferson wierzył w rozdział edukacji i Kościoła.

– Przeczytałaś o tym w informatorze? – żartuje sobie Peter, całując mnie w policzek.

– Dowiedziałam się tego podczas zeszłorocznego zwiedzania – odpowiadam sennie.

– Nie mówiłaś, że byłaś tu na wycieczce. Czemu się na nią wybrałaś, skoro jesteś stąd? Byłaś tu setki razy!

Ma rację, byłam tu setki razy – gdy dorastałam, przychodziłam tu z rodziną. Kiedy mama jeszcze żyła, przyjeżdżaliśmy tu na występy grupy muzycznej Hullabahoos, bo mama uwielbiała śpiew *a cappella*. Zrobiliśmy sobie rodzinne zdjęcie na trawniku. W słoneczne dni przychodziliśmy tu po kościele na piknik.

Odwracam się, żeby spojrzeć na Petera.

– Wzięłam udział w zwiedzaniu, bo chciałam się dowiedzieć wszystkiego na temat UW! Rzeczy, o których nie mogłam wiedzieć z samego faktu, że mieszkam w pobliżu. Na przykład wiedziałeś, w którym roku uniwersytet zaczął przyjmować kobiety?

Drapie się po karku.

– Hmm... Nie wiem. Kiedy założono szkołę? Na początku osiemnastego wieku? No to w 1920?

– Nie. W 1970. – Obracam się z powrotem i patrzę prosto przed siebie, na teren uniwersytetu. – Po stu pięćdziesięciu latach.

– Wow. Szaleństwo. Dobra, opowiedz coś jeszcze o UW – mówi zaintrygowany.

– UW to jedyna uczelnia w Stanach znajdująca się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO – zaczynam.

– Nieważne, nie opowiadaj mi już o UW – mówi Peter, a ja wymierzam mu strzał w kolano. – Opowiedz mi coś innego. Powiedz mi, na co czekasz najbardziej, kiedy myślisz o studiowaniu tu.

– Ty pierwszy. Na co cieszysz się najbardziej?

Bez chwili wahania Peter odpiera:

– Proste. Streaking z tobą po tutejszych trawnikach.

– *Na to* cieszysz się najbardziej ze wszystkiego? Na bieganie nago? – I szybko dodaję: – Nawiasem mówiąc, w życiu się na to nie zgodzę.

Śmieje się.

– To tradycja UW. Myślałem, że interesują cię tutejsze zwyczaje.

– Peter!

– Żartuję. – Pochyla się i obejmuje moje ramiona, wtulając nos w mój kark, tak jak lubi. – Twoja kolej.

Pozwalam sobie przez chwilę pomarzyć. Jeśli się dostanę, to czego nie będę się mogła doczekać? Jest tyle rzeczy, że nie dałabym rady ich wymienić. Cieszę się na gofry jedzone co dzień z Peterem na śniadanie w stołówce. Na wspólne zjazdy na sankach ze wzgórza O-Hill, kiedy spadnie śnieg. Na pikniki, kiedy będzie ciepło. Na całonocne rozmowy, po których będziemy się budzili i nadal rozmawiali. Na późnonocne pranie i spontaniczne wycieczki. Na... wszystko. Wreszcie mówię:

– Nie chcę zapeszać.

– Daj spokój!

– Dobra, dobra... Chyba najbardziej cieszę się... że będę mogła przesiadywać, ile dusza zapagnie, w sali McGregora.

Ludzie nazywają ją salą Harry’ego Pottera z powodu dywanów, kandelabrow, skórzanych foteli i portretów na ścianach. Regały sięgają od podłogi po sam sufit, a wszystkie książki znajdują się za metalowymi kratami, chronione jak drogocenne przedmioty, którymi rzeczywiście są. To pokój z innej epoki. Traktuje się go z szacunkiem – niemal nabożeństwem. W któreś wakacje – musiałam mieć pięć albo sześć lat, bo Kitty jeszcze nie było na świecie – mama robiła kurs na UW i uczyła się w sali McGregora. Ja i Margot kolorowałyśmy albo czytałyśmy. Mama nazywała ten pokój magiczną biblioteką, bo nigdy się tam z Margot nie kłóciłyśmy. Obie siedziałyśmy cicho jak mysz pod miotłą – w taki podziw wprawiały nas te wszystkie książki i uczący się studenci.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059